MŁODOŚĆ



Kraków w październiku MDCCCIC.

TREŚĆ:

STRON 32.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-LITERACKI

wychodzi w Krakowie z dniem 1-ym każdego miesiąca w objętości 3—4 arkuszy druku - - - - -

KRYTYKA jest organem postępowej i niezależnej myśli polskiej - -

W przeciągu ubiegłego półrocza w »Krytyce« umieścili swoje utwory: Daszyński; Winkowski, poseł do rady państwa; Feldman, docent dr Winiarski, dr Massonius, Niemojewski, Nowicki, Tetmajer, Wyspiański, Żuławski, Jan Sten, Orkan, Reymont i wielu innych.

Prenumerata wynosi:

	w kraju	za granicą
kwartalnie zł.	1·25	1·50
półrocznie »	2·50	3·—
rocznie »	5·—	6·—

Adres redakcyi i administracyi:
Sławkowska 26.

345 dr II

ADAM SIEDLECKI

NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

(Dalszy ciąg odsłony drugiej).

Kolber. Pański rober panie doktorze.

Doktór. Już? To prędko. Znać mistrzów po pośpiechu. Idę. (Odchodzi).

Kolber. Partnerzy czekają.

(Marynia zostaje przy fortepianie. Sennie wpatruje się w nuty, na których oparła jedną rękę. Drugą wygrywa cichutkie akordy. Prawie że nie wie o obecności Kolbera. Kolber chwilę patrzy na nią; cicho, delikatnie przechodzi przez pokój. Znów kolejno rzuca wzrokiem to na nią, to na choinkę — widocznie zaambarasowany. Dopiero po chwili z decyzyą podchodzi do Maryni. Przystaje. Pauza).

Kolber. — — Maryniu...

(Marynia, jakby dopiero dźwiękiem jego głosu przyprowadzona do równowagi, spogląda nań, a następnie bez słowa wychodzi pospiesznie przez środkowe drzwi).

Kolber. (patrzy za nią). Taak? (podchodzi do fotelu, zapala papierosa. Po zmarszczonem czole, nasuniętych brwiach, łatwo odgadnąć jakąś dręczącą zadumę. Po chwili macha ręką). Pal dyabli! (mówi prawie niedosłyszalnie. Następnie znów refleksya. — Wstaje, chodzi; zrazu wolno, potem coraz prędzej, prędzej, tak, że nareszcie musi upaść na fotel ze zmęczenia, głowa opada mu w tył. Chwila pauzy. Zrywa się; w oczach błysk). Haah! (przeciąga się długo, jakby chciał pokonać jakieś osłabienie, czy omdlenie chwilowe). Haah! (Bezwiednie przerzuca kilka kartek albumu z fotografiami — zanurza się wzrokiem w jednej — następnie bezpośrednio wpatruje się usilnie w drzwi, któremi wyszła Marynia). Tygrysiczka!! — — To dopiero przygrywka. (mówi to naturalnie bezwiednie, głuchym zmatowanym półgłosem).

(Wchodzi Rozleniecki. Kolber wita go ironicznym uśmiechem. Chwilę patrzą na siebie).

Kolber. No i jakże ci się wint podoba. Przyjemniejszy od preferansa: więcej kombinacyj?

Rozleniecki. Kombinacyj ta i kombinacyj. — (Ogląda się) — ale co to ja chciał mówić? A prawda. Tak.

Kolber. O czemześ chciał mówić.

Rozleniecki. — — Tego... Kolber, słuchaj. Ja tak sobie myślę. Mhm. Widzisz. — —

Kolber. No...

Rozleniecki. Ja się boję — co... tego, zkąd, nie wiem, powiadam ci, ale... Nie to, żebym się tak bał, ale... tego.

Kolber. Boisz się o rekuzę. Pewności nie mam żadnej — ale o ile mogę wnosić z jej półsłówek — z opinii o tobie — to nie odmówi.

Rozleniecki. Ta co tam odmówi! Niechby i odmówiła: Bóg z nią. Nie o to... Mnie, to czy tak, czy owak, zawsze, jak się nazywa — — wygrana. Nie przyjmie — no trudno: nie przyjęła. Szabasz. Przyjmie — ta i czego więcej? Ale ona (zamyśla się) — ale ona... Jej to się może stać... ta... może się stać

Kolber. — — krzywda.

Rozleniecki. — — — krzywda. Oo! o to się boję. Taki lęk! Tak jak by ktoś ciągle

do ucha mówił i mówił: Franciszku Rozleniecki cofnij się w tył.

(Dłuższa pauza. Kolber celowo milczy).

Rozleniecki. Panna piekna...

Cofać się już teraz: ani rusz! (spogląda na Kolbera: Kolber milczy). Tego... Kolber czy by to tych... nie można odłożyć... tych oświadczyn?

Kolber. W zasadzie: naturalnie...

Rozfeniecki (skwapliwie)... że można...

Kolber. Tak. Tylko jak widzisz... dziś o tyle masz dobry teren do działania, że Marta idzie do Klonowskich i zabiera ze sobą wszystkich, a Marynia zostaje. Należało by wyzyskać chwilę. (Przy środkowych drzwiach słychać głosy kobiece: zaraz wejdą) Marta z Marynią: masz ją.

(Wchodzi Kolberowa i Marynia).

Rozleniecki. Raz kozie śmierć: niechaj!

Kolberowa. Jestem gotowa do wymarszu. Panom daję jeszcze pół godziny urlopu — a potem proszę za mną do Klonowskich.

Kolber. Pójdę dopilnować moich winciarzów (Do Rozlenieckiego znacząco). Ciebie już więcej nie interesuje chyba wint?

Rozleniecki. (po chwilce wahania). Taki się jeszcze przypatrzę... (idzie do drzwi).

Kolber (szeptem). Miałeś sposobność i...

Rozleniecki. Ale widzisz... tego...

Kolber. No idź już... idź.

(Wychodzą. Marta zapina rękawiczki. Pauza).

Kolberowa (wskazuje ruchem głowy wślad za Rozlenieckim). Wiesz?

Marynia. Wiem. (Siada — smutnie patrząc przed siebie).

(Milczą. Kolberowa obserwuje Marynię. Po chwili wzrusza ramionami. Dość obojętnie lustruje toaletę, czy jest w porządku).

Kolberowa. Nie mogę nikogo zrozumieć z was. Mama po całych dniach o niczem nie mówi, tylko o Rozlenieckim — ty znowu...

Marynia. Cóż ja.

Kolberowa. Tyś dziwnie skrzywiona.

Marynia. Czego wy chcecie odemnie? Na wszystko zezwalam. Róbcie ze mną, co wam się podoba, tylko spokoju... spokoju choć odrobinę — spokoju!

Kolberowa. Do mnie chyba nie możesz odczuwać najmniejszej urazy. Wiesz doskonale, że zawsze stoję poza wszystkiemi familijnemi awanturami. Nic mnie to nie obchodzi.

Marynia. Aż zanadto nic. Na swoje nieszczęście trochę zanadto...

Kolberowa. Nieszczęście... Nie odczuwam żadnego nieszczęścia.

Marynia (dość bezwzględnie). Tem ci lepiej.

Kolberowa (odczuła niechętny ton. Chwilka pauzy). Rozdrażnionaś...

Marynia (jeszcze więcej tem poirytowana)· Niech i tak będzie! (mały, złośliwy uśmieszek).

Kolberowa. Do wszystkich czujesz urazę. Wszystkich podejrzywasz o złą wolę, a to zwyczajna konieczność wypadków. Co do Józia, to istotnie z początku wywierał pewną presyę na Rozlenieckiego, ale potem pierwszy odradzał mu: sama słyszałam: przy mnie toczono rozmowę...

Marynia. Tak... Przy tobie, wierzę.. przy tobie... Przy tobie wiele...

Kolberowa, Co, wiele? — —

Czego wiele? Czego wiele??

Marynia. Nic... Zadziwiło mnie poprostu; nie wiedziałam o tym fakcie.

Kolberowa. I do tej pory nie wiem, co właściwie Józiowi zależało na tem — aby namawiać tamtego.

Marynia. Haha! (cichy śmiech).

Kolberowa. Czego się śmiejesz?

(Marynia trwa dalej w ironicznym uśmiechu).

Kolberowa. Nie mogę cię dzisiaj zrozumieć. Adieu. (Wraca z drogi). Maryniu!

(Marynia podnosi głowę — w oczach zapytanie).

Kolberowa. Ty taisz coś przedemną.

Marynia. Cierpisz chyba na manię prześladowczą. Ciągle mnie indagujesz. Jasne, że mnie głowa boli i nie zdaje sobie dobrze sprawy z użycia tych lub innych wyrazów.

Kolberowa. A dlaczegoś się śmiała — — —

Marynia. No Boże mój! Nerwy. Głowa mnie boli, powtarzam ci.

Kolberowa (ciągle pod wpływem niepokojącej irytacyi). Dlaczego się nie położysz? (Z naciskiem). Głowa cię musi boleć, skoro co chwila płaczesz i rozpaczasz.

Marynia (energicznie). Nie płakałam i nie rozpaczałam ani na jedną chwilę. Czyś widziała? Dlaczego mi to mówisz? Wiesz, że nigdy nie płaczę.

Kolberowa (dość nieżyczliwie). Nie chcesz wyjść za Rozlenieckiego, nie wychodź. Mieszkałaś u nas dotąd, możesz mieszkać i nadal. Nikomu nie przeszkadzasz.

Marynia. Masz racyę — nawet...

Kolberowa — — nawet...

Marynia. Nawet wam to musi sprawiać wiele przyjemności. Tobie i twemu mężowi.

Kolberowa. Nie masz chyba powodu sądzić, że nie...

Narynia (żywo). Mam powody nawet sądzić, że tak, że tak! Oo! za dużo powodów.

Kolberowa (bada ją wzrokiem — po chwili, siląc się jeszcze na spokój). Kabalistyczną dziś jesteś (ze świadomością tego, co mówi) — w dniu swoich zaręczyn...

Marynia (uderza na nią wzrokiem — chwila milczenia — hamuje oburzenie). Kabalistyczną? Może... ale za to ślepą ani na chwilę.

Kolberowa. Jeżeli... Co mi masz powiedzieć?!...

Marynia (sucho). Nic nie mam do powiedzenia.

Kolberowa. O nie! Teraz już doskonale czuję, że taisz coś przedemną. — — Co mi masz powiedzieć? (pauza) Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? Dlaczego? — —

Ja cię proszę, powiedz mi! (rozdenerwowanie dławi jej głos).

Marynia. Mówiłam ci, że...

Kolberowa. Dlaczego ty mnie dręczysz bez powodu — co? Nie powiesz mi? — (traci panowanie nad wolą). Jam ci niewinna, że wychodzisz za Rozlenieckiego, a nie za swojego ukochanego Skierskiego!

Marynia (natarczywie). Marto! Prosiłam, abyśmy tego tematu nie dotykali! Prosiłam czy nie? —

Kolberowa (z cichą nienawiścią). Nie masz czego żałować: jak na pannę dosyć...

Marynia (cała w ogniu rozdrażnienia). Przestań!!...

Kolberowa. Zresztą możesz odmówić swojemu Rozlenieckiemu. Nie wychodź za niego: nic cię nie zniewala.

Marynia. Tak ci się zdaję? (patrzy na nią ironicznie). Idź Marteczko do Klonowskich — idź i baw się — tyle twego, co w zabawie — a mąż...

Kolberowa. Co mąż?

Marynia. Baw się dziecino — — baw się (chce odejść).

Kolberowa (zastępuje jej drogę). Co mąż?... Aha!... Więc to... aha!! — — Więc co mój mąż? Mój mąż cię zniewala? Tak? No tak, czy nie? — — No powiedz? Nie chcesz. Mnie się zdaje, że to zupełnie co innego...

Marynia (wraca od drzwi, do których zdążyła dojść — mierzy wzrokiem siostrę). Co?

Kolberowa. To nie żadna intryga cię pędzi za mąż... ale... Ty wiesz dobrze.

Marynia (ze złowrogiem spokojem). Co?

Kolberowa — — Bywa i tak! Pan Skierski... Kto to wie...

Marynia (rozbolała, rozszalała). No to dowiedz że się, że uciekam z twojego domu, przed miłością twojego męża. Wstrętem mnie ogarnia...

Kolberowa (w osłupieniu patrzy na nią przez chwilę, szeptem prawie). Ty go kokietujesz!

Marynia (boleśnie). Marto!

Kolberowa (po chwili namysłu podchodzi do drzwi: A, uchyla). Żegnam was panowie. Adieu. (Zamyka drzwi — w tej samej chwili we drzwiach ukazują się: Nitowicz, Kostecki, Kolber, Adaś, Rozleniecki zostaje we drzwiach). Nie zrywajcie się panowie, wszak za chwilę przyjdziecie do Klonowskich.

Kostecki (żegnając się). Odprowadzić chcieliśmy panią.

Kolberowa. Dzięki serdeczne... Przecież to pięć minut drogi...

Kostecki. W każdym razie.

Kolber. Mój rober teraz luźny, a więc panowie grajcie — a ja odprowadzę żonę, jak na wzorowego męża przystało.

Kolborowa (żywo i despotycznie). Dziękuję ci: wolę żeby mnie pan Nitowicz odprowadził. Panie Nitowicz pan będzie łaskaw — prawda?

Nitowicz. Owszem.

Kolber. Zastąpię pana przy wincie — wypłacimy się importem za eksport. — — (do żony cicho ale dobitnie). Możebyś na przyszłość mniej ostentacyjnie załatwiała się, ze swemi sympatyami?

Kolberowa. Nie chcę cię ogałacać z pomysłów i z umiejętności cichych romansów.

Kolber. Cóż to ma znaczyć?

Kolberowa. Nie potrzebuję ci tłomaczyć — (odchodzi). Panie Nitowicz chodźmy. Do widzenia panowie.

(Głosy: Do widzenia. Za chwilę. Do widzenia).

Kolber — — Marynia.

Kolberowa (przechodzi koło siostry). Bądź zdrowa...

Marynia (wyłącznie do niej) Ja ci tego do końca życia nie zapomnę — siostro!

Kolber. No, a my (pokazując ręką na drzwi A). Proszę... (do żony na dystans całej sceny). Powiedz Marto Klonowskim, że za pół godziny jesteśmy u nich (jeszcze raz spotykają się przeciągłem wejrzeniem). A ty Franek z podziału pracy musisz bawić pannę. (Adaś z Kosteckim już wyszli).

Doktór. Skierski przyjdzie do Klonowskich?

Kolber (niedbale). Nie wiem. Służę doktorze. (Doktór wychodzi. Kolber wraca ode drzwi. Do Rozlenieckiego). Możesz się jeszcze cofnąć. (Wychodzi w ślad za doktorem. Na scenie kłopotliwe milczenie).

Marynia. O ile mi się zdaje — pan chce mi się oświadczyć?

Rozleniecki. Aa... A... tak! Ale... A zkądże pani. Tak... któż pani? A tak! a tak!

(Zdziwiony patrzy na nią).

Marynia. No więc — proszę.

(Rozleniecki coraz więcej zdziwiony).

Rozleniecki. — — — Tego.

Marynia. Proszę, niech pan siada.

(siadając vis-a-vis koło stolika).

Więc ja miałam szczęście podobać się panu.

Rozleniecki. Wie pani co. Ja to pani powiem wprost. Z początku to ja się nie chciał żenić zupełnie.. Ani myślał... Ale teraz... Ja tu przed chwilą mówił-że z tym... z Kolberem: Słuchaj Kolber, jej to się może

stać krzywda. — A on powiada: jak chcesz; a ja mu na to powiadam: krzywda się może stać. Prosto bałem się. A teraz, zobaczyłem panią — jak ręką odjął. Bo ja wiem! Jak by mi się teraz kto spytał: Rozleniecki jej się stanie krzywda — ożenisz się — co? Zabij, nie wiem co bym odpowiedział. Możebym i powiedział: niechaj — niech i z krzywdą, ale ja już bez niej nie mogę — nie mogę!

M a r y n i a (z uczuciem niesmaku). Przystąpmy do rzeczy... Otóż nie wiem, czy panu wiadomo, że ja nie mam absolutnie posagu.

R o z l e n i e c k i. Ehe! pani tylko tak mówi.

M a r y n i a. Ale upewniam pana.

R o z l e n i e c k i. Nie panno Maryo, (całuje jej ręce) już ja się na to złapię — nie moja droga panno Maryo! (chce zatrzymać jej ręce w swoich — ona delikatnie wysuwa).

M a r y n i a. Panie Rozleniecki, zupełnie seryo mówię.

R o z l e n i e c k i. Panno Maryo... ja tego nie umiem powiedzieć, nie umiem się wyjęzyczyć dla czego, ale czuję, że to ładnie, że to jest pieknie ze strony pani, ja to tak czuję i mnie cieszy, tak mnie okropnie cieszy — to jest takie święte kłamstwo (uradowany z definicyi) oo! święte kłamstwo!

M a r y n i a. To nie jest nawet zwyczajne kłamstwo — to najszczersza prawda.

R o z l e n i e c k i. No co tu w ciuciubabkę się bawić, proszę pani. Przecie mnie Kolber uprzedził, że pani będzie tak naumyślnie mówić.

M a r y n i a. Szwagier panu mówił, że ja mam posag? No to proszę pana, na prochy nieboszczyka ojca przysięgam, że nie mam ani grosza.

Rozleniecki. — — — na prochy... To święte! (dłuższa pauza. Naraz uświadamia sobie sytuacyę). Wie pani co? Ten Kolber to jest numer! (podchodzi do drzwi A). To jest numer! (grozi w tamtą stronę).

(Pauza).

M a r y n i a (tryumfująco). A więc prawda, że sytuacya się zmieniła — proszę pana?

R o z l e n i e c k i. A! panno Maryo, panno Maryo! To pani mnie ma za takiego. To pani myśli, że ja... A panno Maryo! Nie, proszę pani — jeżeli ja chce się z panią żenić, to nie dla tych głupich pieniędzy... Nie mówię, żeby pieniądze nie miały znaczenia. Mają... tego... ale żeby od człowieka więcej — e, to znowu... A przecie ja bym dla pani... Przecie ja panią kocham — przecie pani — — ta w jednej koszuli a wezmę panią. Ta...

M u r y n i s (przerywa). To jeszcze nie wszystko...

R o z l e n i e c k i. To jest niby... co nie wszystko?

M a r y n i a (nie patrząc nań, wolno). Że mnie pan kocha — wierzę, że wreszcie wyjdę może za pana — w to także wierzę, ale... — — — ja kocham innego panie Rozleniecki.

R o z l e n i e c k i. Innego? — — Niby nie mnie? (wpatruje się w nią z otwartemi oczami, po chwili). Oj! to feler!

(Pauza. Rozleniecki odchodzi kilka kroków, potem wraca. Marynia wciąż nieruchoma).

R o z l e n i e c k i. No tak... ale to — — tego... Ale to już przeszło.

M a r y n i a — — Nie, to trwa ciągle.

(Pauza — dość długa pauza).

R o z l e n i e c k i (delikatnie). Pani go bardzo kocha, panno Maryo? (Marynia potwierdza zapytanie ruchem głowy). Młody?

M a r y n i a. Tak jest.

R o z l e n i e c k i (więcej do siebie). Ten Kolber to jest... (pauza) Któż to taki proszę pani?

Marynia. Mój Boże, co panu na tej wiadomości zależy — powiem zresztą: student uniwersytetu...

Rozleniecki (uradowany). Eh! student! No, to nie była miłość — to zabawka.

Marynia (na pół boleśnie, na pół ze smutkiem) Tak! to była zabawka (przechodzi).

Rozleniecki. Niech mi pani wierzy... pani... tego... zapomni.

(Marynia milczy).

Rozleniecki (błagalnie). Ja będę taki dobry dla pani... taki... Ta mnie by się taka krzywda stała... taka krzywda... Tać... Panno Maryo! Przecie każdy z nas... przecie każda panna za... tego... zakochuje się w studentach.... ale to przecie nie to... co — Ta przecie student to nie miłość...

Marynia (urażona). Być może... Mimo to nie wyjdę za pana, dopóki on się na to nie zgodzi.

Rozleniecki. — — Dopóki on się nie nie zgodzi? Ten student? Ta pani żartuje, panno Maryo.

Marynia. Nie — nie mam nawet ochoty żartować.

Rozleniecki (sztywnieje). Panno Maryo — ja nie mogę się zgodzić.

Marynia. Proszę się cofnąć — jeszcze czas — — (pauza). — Całą dzisiejszą rozmowę naszą będę uważała za niebyłą.

Rozleniecki (ambitnie). Ja nie chetkapętelka, żebym od jakiegoś... zależał.

Marynia (sucho, wyniośle). Panie Rozleniecki...

Rozleniecki (podbiega do niej — całuje jej ręce). Ta moja pani... niechże bo pani sama — — tego — — pomyśli, czy to dla mnie, jak się nazywa przyjemne, abym zależał od kogokolwiek. No niechże pani sama powie.

Marynia. Nieprzyjemne.

Rozleniecki. No widzi pani. Ale niechby — — Bo gdyby to co innego — to niechaj — ale pani przecież rozumie, pani to doskonale czuje — niech tylko pani sobie tak dobrze przedstawi — że przecie, im więcej pani go kocha, tem to mnie więcej ubliża — więcej gryzie, że jedno jego słowo.

Marynia. Zupełnie słusznie...

Rozleniecki. Więc... pani tego... pani cofa swój — — ten — — warunek.

Marynia. Nie.

Rozleniecki (ogromnie pokornie). Panno Maryo — — ta ja na rękach będę panią nosił, ta ja... Pani nawet nie wie — — Ja sam nie wiem, co by to ze mną było... Jać teraz o niczem nie myślę, tylko o tem... To już tak idzie ze mną i idzie — — ta myśl. Taka by przecie krzywda była — taka... Panno Maryo... Tać w ostatnich czasach to ja tylko o pani ciągle myślał... o niczem, tylko o pani... Nie wiem, nic nie wiem co by ze mną było... Od dziecka zakopał się na wsi, zapracował, zaorał w tę ziemię — o Bożym świecie ani dudu... (coraz rozpaczniej). Ta mnie by się przecie taka krzywda! — — — (łapie się za głowę).

Marynia. Wszakże ja panu nie odmawiam swej ręki. — —

Rozleniecki. Ale pani za to — — — (pauza). Czy on panią kocha?

Marynia (żywo). Zmieńmy temat...

Rozleniecki. Bo jeżeli on panią kocha — —

Marynia (przerywa). Panie Rozleniecki...

Rozleniecki. Tak. — — Więc pani nie cofnie.

Marynia. Nie.

Rozleniecki. Pani mi to umyślnie robi... Ale pani, panno Maryo jeszcze młoda — — i znać, że pani, jak się nazywa, — nie kochała, bo by pani nikomu takiego... takiej... Tak jak by mi pani nóż w piersi... (z pro-

śbą). Panno Maryo! — — — — (pauza — oczekiwanie — patrzy na nią — zaczyna tracić upór). Ano, zresztą — — (przytomnieje, z energią i dumą). Nie!! taki się nie mogę poddać! (pauza — milczenie — po chwili znowu cicho, nieśmiało). Panno Maryniu.

M a r y n i u (także cicho). Nie.

(Z za sceny ze drzwi A, słychać głos przybliżającego się Kolbera).

R o z l e n i e c k i (crescendo błagania — w nerwowym pośpiechu). Jak pies będę pokorny!

M a r y n i a (nerwowo — ze wstrętem). Nie, nie, nie! (ucieka w stronę drzwi B.).

R o z l e n i e c k i (wślad). Pani to i litości nie ma dla człowieka! — — —

(Wchodzi Kolber).

K o l b e r (wchodząc — mówi do pozostałych za sceną). Rachujcie, wrócę za chwilę.





FILOZOFIA ANHELLEGO.

(Uwag kilka wypowiedzianych jako odczyt).

»Duch mój jest otchłanią tęsknot i musi strzec się własną mocą«, tak określa Słowacki zasadniczą melodyę swojej istoty.

Po przez wszystkie przeobrażenia bogatej i płomiennej swej natury, na wszystkich stopniach niedługiej wędrówki po świecie życia i poezyi był Słowacki poetą duszy, a świat zewnętrzny służył mu zaledwie za szkielet, dokoła którego oplatał wrażenia subjektywne, ubierając go w czary lotnej swej fantazyi. Dusza własna i dusza świata, czy człowieka w różnorodnych swych przejawach, oto temat który zajmuje go tak bardzo, że aby go uwydatnić, nie waha się nawet zapożyczać u innych poetów, pewny samodzielności swojej i silny całkiem odrębnem ujmowaniem każdej treści.

Dusza poety rwąca się do piękna, do miłości i prawdy, cierpiąc i tęskniąc, nieustannie przetwarzać się musiała.

Tęsknota, przemiany, to niemal treść zasadnicza ducha poety, który

w drugiej połowie życia swego niepodobny jest prawie do fantastycznego i lekko biorącego świat Juliusza z lat młodzieńczych.

Gdy w 1838 r., robiąc aluzyę do swej poetyckiej nienasyconej ambicyi pisze do matki o »głodnym wężu, który go gryzie«, jest równie szczerym, jak w sześć lat później, gdy kreśli stałe swe usposobienie, a nie chwilowy nastrój. »Teraz ja człowiek dojrzały, już mię łatwy i mały poklask nie złowi; a choćby też i sklepienia drżały od krzyków, to mię nie zatrwożą«....

Duch Słowackiego okrzepł, a dążności się skrystalizowały, tak, że ta pozorna obojętność nie wyklucza przeświadczenia siły i uzasadnionej umy:

»Bóg mnie otoczył«, pisze w tym samym czasie, »jaśniejszymi księżycami, a dawne morza i gwiazdy palcem ukazuje w ciemności, abym je zdobył, abym do nich doleciał wiarą i miłością«. Wśród tych przeobrażeń wewnętrznego ja, którym podlega każda hojnie uposażona indywidualność, temperament poetycki Słowackiego był, jak się wyraża jeden z krytyków (Cezary Jellenta), jak ogień wiecznie płonący, nieuchwytny, zmienny w barwach i kształcie, jakkolwiek zawsze świeci i grzeje. Dosadnie charakteryzuje się sam Słowacki: »Natura moja jest pełna błyskawic, najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci«.

Te dni ogniste, to dni twórczości. Pozostawiły nam one nieśmiertelne dzieła poety, stworzyły postaci, których imiona same budzą w nas tysiące wspomnień. Szukamy w nich cząstki duszy poety, i słusznie, gdyż u Słowackiego silniej, niż u innych wieszczów naszych subjektywizm oddziaływał na twórczość. Tworząc, odtwarza siebie, lub ideał, jaki sobie postawił, wypowiada się cały, promieniując na zewnątrz skarby swej olbrzymiej wyobraźni, zasoby swego uczucia, ogromnej wiedzy i bogatego, a giętkiego umysłu.

Do dzieł i postaci takich należy Anhelli.

Czytając Anhellego nasuwa się mimowoli odwieczne zagadnienie stosunku poety do świata. Czy Słowacki w przepięknym swym poemacie chciał dać obraz martyrologii narodu, odtworzyć ziemię łez naszych i cierpień? Czy w postaciach Anhellego, Szamana, Eloi rozumiał istotnie typy lub osobistości? A może zewnętrzna scenerya służyła mu tylko za tło do wywołania nastroju u czytelnika, może działające postaci uważał za symbole, przy pomocy których łatwiej mu było wypowiedzieć swe patryotyczno-społeczne wyznanie wiary? Pytania te tembardziej nasunąć się muszą, że Słowacki, jakkolwiek z usposobienia romantyk i mistyk, miał prawdziwie artystyczne poczucie warunków zewnętrznego świata, że był subtelnym znawcą dusz, który każdej ze swych utkanych ze mgły i brzasku postaci dawał plastyczny podkład właściwej psychologii, a przecież pozostawał zawsze subjektywistą. Anhelli to poemat programowy nietylko dla poety, ale i dla społeczeństwa, zgniecionego przemocą, obalonego fizycznie, którego duch przecież żył, szu-

kał wiary i oparcia na przyszłość. Stwarzając taki pozytywny ideał poeta nietylko wypowiadał własną filozofię, nietylko stwarzał sobie historyczno-etyczny ideał, lecz zarazem grać umiał na najczulszych strunach narodowej duszy, która inaczej nie byłaby mu odpowiedziała sympatycznym oddźwiękiem. Że mu się to udało, świadczy ogromna Anhellego popularność, pomimo wielu niejasności, przeciwieństw nawet pozornych, mimo zagadek, których komentarze nigdy nie rozwiążą, bo poeta poniósł odpowiedź na nie do grobu... Anhelli jest znanym i czytanym. Surowe a przejrzyste dźwięki biblijnej jego prozy upajały młodzież o poetycznym kierunku umysłu, obrazy wyciskały łzy z oczu tych, co już za ojczyznę cierpieli, czyste „anielstwo« jakiem cały poemat oddycha, budzić musiało oddźwięk u każdego. Nastrój bolesny, a głęboki, o który bez wątpienia chodziło poecie, wywołuje Anhelli u każdego polaka, a temsamem wytwarza się podkład religijnego niemal skupienia, z jakiem utwór do ręki bierzemy.

Wywołanie nastroju, jako zasada poetycznego kanonu, to zdobycz czasów nowych; prawdziwe dzieło sztuki dziś i zawsze budziło go, niezależnie od teoryi. Że Słowacki uświadamiał to sobie w dzisiejszem znaczeniu, świadczy uwaga wypowiedziana w jednym z listów. »Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność«. Trudno o lepszy komentarz do dziwnej harmonii, w jaką zlewają się w Anhellim obrazy północnej przyrody, mistyczno-romantyczne przygody działających postaci, oraz ich treść wewnętrzna.

To nam również tłomaczy, dlaczego za tło wybraną została syberyjska Gehenna. Chodziło bowiem o ideologię narodu, który w czasie powstania Anhellego (prawdopodobnie w 1838 r.*) leżał już skuty w kajdany, którego najlepsi przedstawiciele ciągnęli taczki w kopalniach Sybiru, a tłumy powstańców nie chcąc ukorzyć się przed wrogiem szły na wygnanie.

W grupie wygnańców, z pośród których wybrany został Anhelli, uosobić chciał Słowacki współczesną mu emigracyę. Piętnuje jej małoduszność, bezczynność, swary i nieumiejętne zachowanie się na obczyźnie, ale nie pomija wielkiej niedoli ducha i ciała, która musiała z czasem ich spodlić.

»Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych«, powiada Szaman, spotkawszy gromadę wygnańców. Szaman, przewodnik Anhellego niejako Wergili oprowadzający Danta po piekle, rozumie, że indywidualność ludzka, zwłaszcza ludzi przeciętnych, ludzi w grupie rozwijać się może tylko we właściwych dla niej ramach. »Ażaliż

---

*) Pierwotny plan Anhellego, który nosić miał tytuł „Posielenje", odnalazł się w dzienniku pisanym podczas podróży na Wschód w 1837 r. Poemat w tej formie w jakiej ogłoszonym został i doszedł do nas, pochodzi, jak się zdaje, z sierpnia 1838 r. (Patrz Dzieła. Wyd. H. Biegeleisena, T. II, str. 117 i n.).

każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe?« To też z góry przeznaczeni są na zatracenie jak owi biblijni wędrowcy nigdy nie wejdą do ziemi obiecanej. Wskrzesić ich byłoby cudem »albowiem są ludem starym«. Lud zdolny do życia »prosty i nie skrzywiony na ciele«, musi zatem wyrosnąć z nowego pokolenia. Kłótnie wygnańców, podział na stronnictwa — wszystko jak na emigracyi. Posieleńcy sybirscy dochodzą nawet do krwawych zbrodni, a gdy odwieczne cherubiny pytają: ludzie, co czynicie? brzmi ponure usprawiedliwienie:

»Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem, który go przyjmie jest głód«....

»Cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszemi i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności. Brak ojczyzny odjął im wszelką materyalną i moralną podporę.

Poeta wyrozumiałym jest na te występki, pojmuje on człowieka, jego słabość i przyczyny upadku.

Gdy w kopalniach Sybiru, wśród setek nieszczęśliwych skazańców, pozbawionych słońca, Szaman spotyka samobójcę, który się zatruł ołowiem, rozgrzesza go, mówiąc:

»Ten ołów zabójcą jest i doradzcą złym, bo mówił weź mnie i zjedz, jam jest końcem i spokojnością«. Przeklina tych, co łamią się przed najmniejszym wichrem. «Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno... będziecie żałowani«. Wolnomyślny poeta robi nawet uwagę, że »kto wie jaki jest sen w niepoświęconej mogile«.

O odtworzenie życia wygnańców na Syberyi nie chodziło Słowackiemu, rzuca on szereg obrazów o wielkiej grozie, ponurych, a przecież poetycznych, wystarcza to, aby nam uprzytomnić cierpienie tych ludzi, usprawiedliwić ich dusze.

Nie szukajmy też realnych warunków syberyjskiej przyrody. Przeciwnie, jak cudnie powiedział Krasiński: »Trzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się na mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny.. piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem«...[1]).

Usunąć z tego piekła cuda jednolitego a przecież zmiennego krajobrazu, dodać szczegóły realne, to znaczy nużącą i brzydką codzienność, a zniklłoby odpowiednie tło dla Anhellego, który jest samą harmonią i poezyą.

Postaci Szamana i Anhellego, to symbole, a nie charaktery, ani typy. Szaman uosabia czynny rozum i uczucie. Pragnie być przywódzcą garstki wygnańców, gotów nawet lud swój dla nich opuścić, dopóki się nie przeko-

---

[1]) Dod. mies. do »Czasu« 1859 r. marzec. Cyt. u Biegeleisena s. 129.

nał, że to ludzie słabi, niezdolni do życia, przeznaczeni na zgubę. Gdziekolwiek się zbliży, wszędzie niesie pociechę, pomoc, radę. On dzieciątka wyzwala z przemocy przewrotnego popa, który zatruwał im serca, on odwala kamień, który w kopalniach zasypał rodzinę złożoną z ojca i czterech synów. (Charakterystycznem jest przytem, że żałuje czynu swego, przekonawszy się, że synowie pomarli — chce więc czynić cudy nie dla dopomożenia jednostce, ale dla przyszłości uosobionej w młodszem pokoleniu). Na cmentarzu grzebie umarłych, z krzyżów zdejmuje niewinnie ukrzyżowanych, jest duchem czynnym, który zjawia się, gdziekolwiek ludzie płaczą, potrzebują pomocy, chwieją się w wierze. Przytem to nie siła bezosobowa, lecz człowiek, który ulega uczuciu, waha się, cierpi, nie zawsze zadowolony jest z czynów swoich. Nie sądzę, aby Słowacki chciał w nim przedstawić nadludzką jakąś potęgę, zowie go wprawdzie człowiekiem bożym, ale czyni tylko myślicielem i działaczem.

Świetlana postać Anhellego, czysta jak śniegi Sybiru i jak one chłodna dla wszystkiego, co ziemskie, zdaje się być zupełnie oderwaną od ziemi. Cała jego dusza skoncentrowała się w jednem uczuciu — miłości ojczyzny — tak że tylko ojczyzna, jej wspomnienia i cierpienia wzruszyć go potrafią. Anhelli to człowiek przeznaczenia, pomazaniec boży, nietylko wybrany przez Szamana przewodnik i następca, on jest gienjuszem uczucia, cierpienia, ofiary. Niezdolny do czynu, jest przecież sam w sobie największym czynem spętanego narodu, jest jego poezyą.

Krytycy[1]) twierdzą, że Słowacki samego siebie przedstawił w Anhellim.

Istotnie, kto wie, czy mimowolnie nie utożsamiał się z tą wypieszczoną przez siebie postacią. Wskazywać się na to zdają słowa i wspomnienia Anhellego w rozd. XI:

»A niema jednej kawki w powietrzu, którąby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał«.

Poeta stroi swą postać w dramatyczne barwy, Anhelli przed śmiercią skarży się, że jego życie

»zaczęło się od przerażenia«

że jest pogrobowcem, którego ojciec umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany, a matka z boleści po nim.

»Pierwsza lilia na grobie ojca mego jest moją rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą«.

Trudno o wyrazy bardziej smętne i poetyczne dla odmalowania samotności, która od kolebki towarzyszy Anhellemu. Samotność, smutek i bezbrzeżna tęsknota za tem, co każdemu człowiekowi zdobi życie, a potem za utraconą ojczyzną, a więc utraconym ideałem, przyszłością, nadzieją, wiarą nie odstępują go na chwilę. Słusznie powiada o Anhellim sam Słowacki

---

[1]) Np. Zdziechowski, Jellenta.

w listach, że »Chrystusową ma twarz«. Myśl o śmierci ciągle w nim jest obecną. Już na cmentarzu tłomaczy duchowi biskupa:

»Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie«. Od śmierci Ełłenai czeka zgonu, czuje jak się zbliża, nie broni się, owszem pragnie końca. Na chwilę opanowało go zwątpienie, lecz korzy się na pierwszy wyrzut aniołów.

»Więc będę cierpiał, jak dawniej: Oto język mój codzienny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami.... do kogoż mówić będę?...«

Cierpienia osobiste i okropności ziemi są dlań niczem:

»Zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest«,

a pomimo to Anhelli wierny jest swej misyi na ziemi, tak jak Słowacki, który pisze o sobie: »Serce moje ma coś w sobie wiecznotrwałego, nigdy nie zapomina, ani się nie zmienia«.

Zaiste jeżeli poeta duszę własną wlać chciał w Anhellego, to cudnie piękną, a niewysłowienie smutną, była ta dusza, wyzwolona od drobiazgów codziennych — głęboka i wzniosła dusza, która nie inaczej wygląda ku nam z listów poety tej i późniejszej doby.

*
*　　*

Artyzm poety scharakteryzować może tylko poeta, chociaż i my odczuć go potrafimy. Nie śmiem też dotykać artystycznej strony poematu, brzmiącego jak muzyka, a roztaczającego cudowne obrazy tak wyraźne, jak gdyby je nie piórem, lecz pędzlem malował. Znamy go wszyscy. Pragnę raczej zwrócić uwagę, że w Anhellim odnaleść można pełne akordy, złożone z zasadniczych tonów umysłowości poety. Było to prawdopodobnie świadomym zamiarem Słowackiego, aby w Anhellim wypowiedzieć swe filozoficzno-społeczne i narodowe credo, jakkolwiek w listach, które tak wszechstronnie odsłaniają nam indywidualność poety, nie znajdujemy wyraźnych na to wskazówek. Pisząc do matki, zamieszkałej w krjau, unikał Słowacki spraw drażliwych, któreby ją kompromitować mogły. Listy wydają mi się przytem spowiedzią codziennego człowieka (nie mówię powszedniego, lecz człowieka jakim był Słowacki dla najbliższego otoczenia, na codzień). Stosunek swój do świata, społeczeństwa, narodu i współczesnych mu genjuszów, wypowiada zaś w swych utworach.

Mickiewiczowski Konrad pobudził Słowackiego do stworzenia postaci narodowego ofiarnika. Jest nim Kordyan, który jako pierwszy akt trylogii, był uosobieniem narodu walczącego. W Anhellim daje poeta akt ostatni, stosunek wybranej jednostki do narodu w okowach, a jednocześnie najwyższą tego narodu wiarę w odkupienie przez ból i czystość duszy. W obec Mickiewicza zatem, w obec emigracyi polskiej, a wreszcie w obec samego siebie i przeszłości swojej, Słowacki wypowiedzieć był powinien poglądy wła-

sne na przyszłość narodowej sprawy. Anhelli nie był dziełem jak inne, pisanym w chwili jednorazowego poetyckiego natchnienia. Wiemy, że poeta kilkakrotnie doń powracał, może nawet obmyślał go lat kilka (rozpocząwszy jeszcze w Genewie w 1835 r., a kończąc we Florencyi po powrocie z podróży na Wschód w 1838 r.), tak, że pierwotny koncept pisany tercynami, zbliżony do dzieła Danta, z wypracowanym starannie planem, zupełnej uległ przeróbce. Nie chodziło tedy Słowackiemu o dzieło poetyckie jedynie, lecz raczej o możność odsłonięcia umysłowej swej istoty. Słowacki w Anhellim to nietylko artysta lecz i filozof, a przedewszystkiem narodowy myśliciel.

Jako taki, wierzył Słowacki w odrodzenie Polski:

»O tak", powiada, „nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła;
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę,... jeżeli żywa to poleci.

Tak, on chciał Polski żywej, Polski, w której drgałyby, myślały i czuły wszystkie członki narodowego organizmu, gorzkie wyrzuty czynił tym, co tłumili przejawy ludowego ruchu, mając nadzieję ojczyznę z jego pomocą odbudować.

. ..Ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu....
Czuł gorących, bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe....

powiada do autora trzech psalmów, bo jemu chodzi nie o granice historyczne, lecz o ducha ludu, którego »z niewolnika swą mocą i pieśnią przedzierzga w człowieka«, o lud, który wie

„że ten za tyrana,
Kto go na duchu zabija — wytraca,
A nie ten, który mieczem głowy zbiera,
A duchom żywot i słońce otwiera«.

Że narodowe dążności Słowackiego nie były wyrazem przekonań ogółu, o tem wiedział poeta, a gdyby dziś zmartwychwstał z równą prawie słusznością mógłby zapytać:

»Kiedyż Polska to usłyszy, co ja słyszę?...
Boleścią moją powietrze zaklęte

Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha...

Czy Anhelli nie jest wezwaniem do takiej odpowiedzi?

* * *

Trzy główne motywy poezyi Słowackiego: miłość ojczyzny, miłość kobiety i cześć dla piękna, znalazły w Anhellim charakterystyczny dla poety wyraz.

Zacznijmy od ostatniego: Wśród różnych teoryj, któremi artyści dzisiejsi usprawiedliwić się starają hasło »sztuka dla sztuki«, pozostaje zawsze to samo kryteryum piękna. Czy piękno to będzie siłą, czy harmonią, czy pojmiemy je jako najdoskonalszą zgodę formy z treścią, czy jako przejaw indywidualnej, płomiennej lub ponurej duszy, coraz więcej wnika w krew naszą i mózg przekonanie, że miarę piękna do wszystkich przejawów życia stosować można. Słowacki, uprzedzając przyszłość, kilkakrotnie to zaznacza:

Na pociechę wygnańcom. którym przepowiada, że nie dożyją dnia ogólnego zmartwychwstania, Szaman powiada: wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni. Zdawałoby się, że to marna pociecha w zamian za możność zmartwychwstania, a przecież poeta wyobraża ją sobie wielką, bo owi nieżyjący mają wcielać w siebie piękno, będą zatem jak nieśmiertelne dzieła, budzące podziw u całych pokoleń — dzieła piękna. Tak samo znalazłszy się z Anhellim na cmentarzu, zapewnia go Szaman, że dla smutnych kraina syberyjska jest piękną »albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne«. Tak samo nie mówi o lepszej, weselszej, lecz o piękniejszej ojczyźnie, a duchy z ciał opętanych przez anioły chce, aby weszły w lilie wodne i rozleciały się po gwiazdach różanych i zamieszkały w tem co jest najpiękniejszego«. I śmierć, owa ucieczka melancholika i pesymisty, może być piękną. Ellenai przywołuje na pamięć gminne podania, wierzy, że po śmierci poleci do krainy rodzinnej Anhellego, że przebywać będzie w miejscu, gdzie upłynęło jego dzieciństwo, gdyż »z taką myślą śmierć piękniejsza«. Ostatnim obrazem jaki widzi, jest czerwona szyba lodu z dwoma skrzydłami promieni, jak gdyby anioł złoty, i tu więc lubuje się w pięknie. Marzycielskie usposobienie poety, jego wielkie oderwanie od spraw ziemskich, a poszukiwanie duszy, wreszcie wrodzony mu silny subjektywizm, podsuwały mimowoli kryteryum piękna, które najwyższe wzruszenia dawało jego skoncentrowanej naturze.

Dr. Zofia Daszyńska.



A. S. PROCAJŁOWICZ. NOCTURN.

JAN AUG. KISIELEWSKI.

WILA.

Wila — oczami pije, nurza się w blaskach słonecznych i zieleni drzew. Mówi, jakby sama do siebie:

Jaki żar bije słoneczny!

Jak ona mówi, ta wielka, zielona, złotem tkana gąszcz!

Życiem tchnie wszystko — jedna wielka miłość słoneczna.

Cudowny szept kwiatów-kochanków, słodka muzyka skrzydeł motylich... Trawy tak szemrzą leciuchno...

Ze ziemi idzie ogromne pragnienie słonecznego uścisku.

Nie, nie! Chodźmy stąd! Nie mogę tu być: — w piersiach czuję słoneczne iskry. —

Lecz nie. Dlaczego? — Dlaczego uciekać przed tymi cudami?!

Tak nęci! — tak się czuję jej dzieckiem, tak dusza moja jest z jej duszy córką!

(Do Ludwiki, Karola i Ryszarda).

Chodźcie tu, podajcie mi ręce, chcę teraz mieć was przy sobie: chcę mówić do was. — Matki tutaj niema.

Widzicie, to wszystko, to wszystko jest we mnie: i słońce promienne, kwiatów rozmowy, motyli szept i melodye fal.

Ale tam, tam w domu, dziwnie jest zimno, ponuro. Jak więźniowi przez kratę, tak matka mi każe w jakąś gwiazdę patrzeć, za nią iść boso, w pątniczem ubraniu i dawać jałmużnę. Z całego życia daninę.

Wy moi, wy wiecie, czujecie... Ja dzisiaj chcę prawdy wielkiej i jasnej, jak ta ziemia cała i jak ten las...

Ja nie mogę tam! — do domu! O — uciec stamtąd — uciec!

Dopiero tu, gdy słońce nad głową, zieloność wiosny u nóg i wszechistnienia muzyka... ja... ja nie chcę być ofiarnicą!!

Ja spiewać chcę w sobie dla siebie: stworzyć wielką pieśń życia!

Ale to życie w domu, ta walka we mnie, to wieczne szarpanie się od tego, co matka mówi i każe, w co już sama wierzę — ku słońcu mojemu, które czuję w piersi, ku żądzom lotu w podobłoczne przestrzenie, ta wieczna

niepewność, gdzie jest prawda mojego jutra, mojego życia... ta groźba matki, że musi zamilknąć ten, co pieśń ma tylko dla siebie, a śpiewać nie chce dla innych, dla wielu, dla wszystkich...

A... a chociażby i tak być miało! — Ja dzisiaj inaczej nie mogę... dzisiaj muszę się skąpać w topieli słonecznej i zielonej fali... ja kocham go. —

(Składa głowę na ramię Ryszarda; dłoń jego przyciska do piersi).

(»Uroczysko leśne« ze »Sonaty«, kompozycyi dramatycznej w 5 częściach).

JAN AUG. KISIELEWSKI.

Staw cały w słońcu! — Nie — to brylantowa:

MELODYA FAL!

Patrzcie: ta jedna, jasna płaszczyzna, okryta łuską srebrną lekko falującej wody!... A! —

Migoce, mieni się, drży — w całunkach promieni złocistych.

Jak rybki wesołe — igrają, chichoczą i pieszczą – tłoczą się, toczą, — a wargi ku górze, a usta w błękity: ha! — dziatwę słońca, promyki całować!

Promienie mkną swawolne, uchylają się, śmieją, przemykają, znikają, zsuwają się, toną — zskakują z maleńkiej fali na mniejszą, od rybki do rybki — i znowu wracają, by ubiedz, by igrać, znów nęcić i muskać i pieścić, chichotać — i znowu umykać i dalej a dalej.

(Ze »Sonaty«, kompozycyi dramatycznej w 5 częściach).

MŁODOŚĆ str. 234.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI. JANA AUG. KISIELEWSKIEGO PORTRET WĘGLEM.



JAN AUG. KISIELEWSKI.
(portret piórem).

Duża, duża płaszczyzna życia — gdzie okiem sięgnąć lśni się ona, mroczy, szarzeje, topieliskową rudziną nęci — albo jasną smugą oślepia. Duża płaska, równia życia.

Na niej mkną kule: te w szalonym wirze pożądania, w rozpaczliwej pogoni za tem, czego szukaią, a nie znajdą, a szukają, wiedząc, że nie znajdą, — inne w leniwem rozkołysaniu się bytowania »o najmniejszym wysiłku«, a tamte wreszcie zasłuchane w szmer tych wszystkich brył, co huczą wirem, jęczą fatalistyczną koniecznością pędu przed siebie. A wszystkie równe, koniecznie równe — mogą się różnić wielkością, jakością gliny, z której je ulepiono — ale bezmiennie przystosować się muszą do swojej płaszczyzny. Muszą biedz naprzód. I nic nie zostanie po nich, jeno ślad. Patrz: ta mknie

przed siebie; — widzisz, jak to złote pasmo co się wiło za nią promieniami szczęścia, zakrwawiło się na raz — i odtąd krwiawić się będzie ciągle. Biją o nią inne kule-ludzie, krzyżują się ich drogi, zbaczają od ciągłych karambolów, od lekkich zderzeń, ocierań, — smuga już nie przestanie się krwawić i plamić inne kule i ślady ich smucić. Po przez chwilową jasność, po przez radość, jęk i słoneczniejsze jaśnienie — to krwawe pasmo już się nie zatrze w życiu człowieka.

A oto i krotochwila życia! Jedna kula mknęła sobie spokojnie wprost, a druga jeszcza spokojniej w kierunku odwrotnym. I tak sobie myślały te biedne kule, że z rezygnacyą, z namysłem będą walcowały aż do śmierci. Naraz nasze dwie kule uderzają o siebie. Musiały uderzyć, tak już wyliczył jakiś matematyk niebieski. Uderzyły więc i naraz spostrzegają, że nowy ich kierunek odbiegł od pierwotnego: jedna na łeb na szyję potoczyła się na dół, — druga biegła przez chwilę ku górze, naraz uczuła, że stoi — i ani się mogła opamiętać, kiedy tak samo: na łeb na szyję... Po drodze nowa kula, druga, dziesiąta — a każda bije, tłucze, wali, »uczy«; kula-człowiek mknie od linii do linii, od kuli do kuli i szemrze cicho: kierunek! gdzie mój kierunek! zgubiłam kierunek!

Takie wrażenie przynosi nam »W sieci«, takie same »Karykatury«. Ludzie Kisielewskiego rozpaczliwie są przystosowani do tego toczenia się po równi życia, rozpaczliwie identyczni w swojej odmienności wewnętrznej. Każde ich słowo, każdy czyn — to zderzenie dwóch kul, każdy nowy pęd to skutek o potencyonalnem napięciu czynu — to przyczyna.

I co jest najtragiczniejszego w tej całej wichurze życia, to to, że te kule muszą toczyć się naprzód, muszą bić o siebie, muszą krwawymi ślady znaczyć swoje istnienie.

Na tym punkcie Kisielewski przedziwnie zjednoczył się z filozofią słowiańską, nie z tą pisaną, usystematyzowaną — ale z tą, która płynie z zasadniczego temperamentu, z żywiołowej woli życia, potężnego, bolesnego życia, takiego życia, jakiego umie pragnąć i kochać po za Indusem jeden tylko Słowianin.

Kisielewski twórca, Kisielewski producent dramatów, sztuk, komedyj, widowisk teatralnych nic mnie, nie obchodzi. Zgodzę się chętnie na wszystkie zarzuty, jakie stawiają jego podłej technice, jego rozwlekłości, anarchii lite-

rackiej. Nie wiem czy to słuszne, czy nie — nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie nie umie pisać, niech sobie nie dorasta do umiejętności robienia — — mnie obchodzi Kisielewski artysta, ten pan, który przedziwnie odgaduje, co jest w życiu komedyą, a co krotochwilą, ten pan, który wyczuwa, jak nikt u nas, istotny dramat, wyławia go i wyrzuca na scenę, mówiąc — »ot, co zostało z twoich niewolników«.

Dramat Kisielewskiego nie jest ani literaturą, ani malarstwem, ani żadną z pięciu sztuk akademickich — jego dramat jest syntezą życia. Życie, ta metafizyczna siła konieczności istnienia, rusza u niego motor dramatyczny. Ludzie, jako tacy, są tylko niezbędnemi, zgoła zewnętrznemi akcesoryąmi dramatu — i dlatego z taką bezwzględną, jednolitą szorstkością pastwi się nad ich losem, nad ich pragnieniami, nad tem wszystkiem co w przeciętnym dramacie stanowi cel, a nie środek sztuki. Dla tego wreszcie sam autor, zapatrzony w Święte Świętych, w Życie z taką pańską rozrzutnością, z taką pogardliwą równowagą sieje bólem, radością swoich maluczkich, tak po ojcowsku pobłaża ich wybrykom i tak nielitościwie szydzi z tego co jest wielkie, potężne i ukochane u nich... i u niego samego.

Bo nie pamiętam, czy zdarzyło mi się u drugiego autora spotkać taką nienawiść do siebie samego, taką dyszącą żądzę unicestwienia samego siebie. Średniowieczne duchy mnisze zatracały się z tego samego powodu ascezą — skrępowaniem woli ciała, aby bez najmniejszego oporu zlać się z najmistyczniejszą tajemnicą Życia — dzisiejszy artysta zatraca siebie przez sztukę. Sztuką symbolizuje (nie odtwarza) życie, bo odtwarzać można najwyżej człowieka lub to życie, które człowiek dowolnie stwarza czy to zapomocą fotografii, czy romansu francuskiego — życie, to życie, które nas stwarza można tylko upromienić, utęcznić w symbolu sztuki.

Kisielewskiego powodzenie nie jest przypadkowe, nie pochodzi z tych samych źródeł co sukces, np. »Zaczarowanego koła« — konieczność powodzenia wraziła się już od dziecka w naszej duszy głuchem poczuciem ukochania, uwielbienia życia.

Adam Siedlecki.

DRZAZGI.

Bracia Słowianie.

(Sdl.) Bracia Słowianie byli w Krakowie. Był brat Tuma, ten sam, który ks. Koppa upraszał o zniesienie kazań polskich w Ostrawie, był Podgornik, Horzica, publicznie wymyślający Polakom za zarzuty, stawiane moskalofilstwu czeskiemu, wreszcie cały sztab »Narodnich listów«, miłego sercu polskiemu organu. Podobno i brat Bretter coś wspomniał o braciach Moskalach pod wpływem szampana. Wogóle mila i dobrana kompania.

Dzień pierwszy. Wśród uroczystego brawa brat Chyliński wzywa do prezydyum brata Brettera, słowianina, redaktora niemieckiej »Politik«. Brat — Beaupré czyta referat, którego najgenialszą stroną jest stanowczo lapidarność. Brat-Beaupré kończy referat, brat - Podgornik naturalnie ma krótką przemowę. Mówi wspaniałem moskiewsko-tulskiem narzeczem. Rozwodzie nie dają piętnować rublowego panslawizmu czeskiego. *Pas correct.* Podobno ktoś ma ochotę szepnąć słówko o moskalofilstwie polsko-galicyjskiem. Tak à propos. Nietaktownego polityka mitygują. Rozprawy idą dalej. Referat p. Beauprégo naturalnie »jednomyślnie« przechodzi... do miłych wspomnień. Zresztą trzeba przyznać, że referat był zupełnie pobożny, nie nawoływał do żadnych rewolucyjnych instytucyj, żadnych praktycznych, na faktach opartych postulatów jedności — ale, jeszcze by czego... — oo! Ot poprostu jak »Czas« przykazał, zwracał się do moralnych, metafizycznych przesłanek — mówił o »konieczności objektywnego traktowania spraw«, o »miłości wzajemnej«, o tęsknej metodzie przyznawania racyi stronie pokrzywdzonej — o delikatnych upomnieniach stronie krzywdzącej — wogóle o systemie takim, aby i wilk był głodny i owcę dyabli wzięli... Ale referat przeszedł »jednomyślnie«; tego nikt nie zaprzeczy... Język urzędowy: polski. Zresztą Czesi mówią po czesku i nikt ich nie rozumie. Słoweniec po rosyjsku i nikt go nie rozumie. Za to Polaków najzupełniej rozumieją wszyscy Polacy.

Rozprawy zakończone. Popołudniu zwiedzanie zabytków grodu: Hawełka, Wenzel, Klimek, Janiga, gdzie kto woli. Wieczorem raut. Język urzędowy dla ogólnego zrozumienia się: niemiecki, jako ogólno-słowiański. Bracia - Słowianie z Czech i okolic ciągną tęgo. Bracia — Słowianie ze Lwowa upijają się dokumentnie. Słowianie z Krakowa nie mogą ustępować: *Sie sind für jede Majorität zu haben.* Pan Podgornik redaktor »Slavisches Echo« nie chce mówić po niemiecku, bo by to ubliżało godności słowiańskiej. Brata - Tumę ktoś przez pomyłkę upomina o szybsze zamiecenie sali przed tańcami. Brat Tuma tłómaczy się, że tylko wygląda na lokaja. Nastrój. Serdeczność. Zapewnienia miłości. Mazur z p. Lewickim na czele.

Drugi dzień obrad. Referat ma brat - Gregr. Mówi o potrzebie założenia jakiegoś biura. Doskonale rozumieją go Czesi. Oklaski biją wszyscy — i wszyscy się »jednomyślnie« zgadzają. Mówi tylko Podgornik, bo ten zawsze mówi. Ehrenberg symuluje Czecha; krzyczy: vyborné, zamiast: — doskonale. Każda metoda dobra. Zmęczenie, sen, ziewanie.

Popołudniu zwiedzanie starożytności miasta: Turliński, Hawełka, Grand, Szmidt. Potem bankiet. Toasty. Rozbawienie, miłość, uściski. Naturalnie teatr. »Kde domov muj«. »Boże coś Polskę«. Platon Kostecki przemawia do tłumu. Tłum bije oklaski. Jakiegoś niefortunnego mówcę, który z galeryi także chciał przemówić do tłumu, wyprowadza policya. Platona Kosteckiego nie wyprowadzają.

Dzień trzeci. Mówi brat - Chyliński. Mówi o jedności, miłości i lojalności. Brat Chyliński zawsze mówi o jedności, miłości i lojalności. Rozumie się w szerszem znaczeniu. Referat Hovorki przyjęto »jednomyślnie«. Jakiś Gapski chce postawić wniosek, aby na przyszłość wszystkie referaty przyjmowano »jednomyślnie, bo to przecie wszystko jedno«. Gapskiemu odbierają głos.

»Drugi Zjazd słowiański, panowie, przyniósł nieobliczalne korzyści«, jak mówił brat - Bretter.

Targowica ma głos!

(m) »...Bez pozwolenia kasty, która kulturą, tradycyą i blaskiem minionych zasług słusznie przoduje narodowi, bez postawienia tej kasty na czele, jakaś grupa warchołów chce sprowadzić Słowackiego prochy do kraju. Wobec tego, my, którzy się trzymamy wiernie wspomnień oligarchii, wspomnień magnackich anarchij, Targowicy, szlachetnych denuncyacyj i wszystkiego, co naszem jest — my usilnie na tem miejscu oponujemy przeciwko myśli sprowadzenia popiołów Słowackiego do Krakowa, nie dlatego, abyśmy mogli wymyślić jaki zarzut przeciwko samej idei — ale dlatego, że dla nas uroczystość owa nie będzie miała najmniejszego znaczenia, »dopóki za trumną Słowackiego nie pójdzie biskup Puzyna, Stanisław Tarnowski i inne blaski kraju w pierwszym rzędzie«, jak się wyraził swojego czasu jeden z naszych wziętych i giętych przyjaciół«.

Z uszanowaniem

Kasta z tradycyą i blaskiem minionych zasług.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

DYNAMIKA SIŁ SPOŁECZNYCH.

Pod względem biologicznym, niema narodu, któryby przedstawiał zupełnie czystą jaką rasę. Można nawet nie bez pewnej podstawy utrzymywać, że na wytworzenie narodu zawsze się składały dwa pierwiastki odmiennej, chociaż często zbliżonej szczepowości. Jeden z nich przedstawiał się jako czynny, kształtujący. Byli właśnie to najczęściej ci podbójcy, którzy tworzyli, organizowali państwo. I dlatego początek państwowy, jeżeli nie zawsze, to w każdym razie najczęściej, bywał tu i początkiem kształtowania się narodu. Im mniej liczni byli podbójcy, im więcej rasowo zbliżeni do ludności opanowanej, tem rychlej się odbywało wzajemne upodobnianie się. Mając na uwadze krewkość zmysłową barbarzyńców i także *jus primae noctis*, łatwo zrozumieć, że mieszanie się biologiczne odbywało się przeważnie w łonie ludności podbitej. Z jednej strony przyczyniało się to do powstawania pewnych węzłów łączności pomiędzy obu odmiennymi i wrogimi sobie ludami, a z drugiej strony podbita ludność, wchłaniając coraz większą liczbę potomków czynnej rasy, sama w pewnej mierze przeobrażała się w swym charakterze i pozbywała się coraz bardziej swojej bierności. Oprócz tych dwóch głównych składowych części, u każdego narodu spostrzegamy jeszcze inne mniejsze lub większe domieszki, spowodowane albo

przymusowem osiedlaniem jeńców wojennych, albo przyłączaniem do państwa nowego terytoryum z ludnością szczepu odmiennego, albo immigracyą różnoplemiennej ludności do wnętrza państwa.

Badając dziejowo gminę, zwłaszcza narodów zachodnio-europejskich, widzimy, że przedstawiała ona interesy ludu podbitego wobec podbojców, dzierżących w swem ręku państwo. Powstania chłopów, zwłaszcza w pierwszej połowie średnich wieków, mają jeszcze charakter antagonizmu rasowego. Augustyn Thierry uwydatnił ten charakter w Iacquerie francuskiej, przedstawiając ją jako powstanie Gallów przeciwko Frankom. Oczywiście, że stosunek podbójców do ludności podbitej nie był wszędzie jednakowy, ulegał on w rozmaitych państwach ogromnym zmianom, stosownie do rozmaitości warunków rasowych, ekonomicznych, umysłowo-moralnych i wreszcie politycznych. W jednem miejscu był on bardzo uciążliwy, w drugiem wcale znośny. Wszędzie jednak podstawą tego stosunku był przywilej i wypływający z niego podział ludności na klasę uprzywilejowaną, panującą i lud pospolity bez przywilejów, pospólstwo, gmin. Z początku i pomiędzy podbojami tradycya rodowa utrzymuje ich we wzajemnej równości i wspólności pomiędzy sobą, ale następnie oddzielne rodziny, obdzielone sowicie ziemią, odgraniczone od siebie, wystarczające w głównych potrzebach życia same sobie, często dobrze obwarowane w swych domach, czują się same dość silne do utrzymania w posłuszeństwie ludności podbójnej i dążą stale do wyłaniania się ze wszelkich powinności względem swego ogółu. Indywidualizm ten familijny uwydatnia się w dążeniu do zamiany swej posiadłości (possesio), która, jako własność jest jeszcze rodową, wspólną, — w wyłączną swoją własność, w dziedzictwo *(hereditas)*. W ten sposób dwa ludy, odmiennie biologiczne, przedstawiają równocześnie dwie klasy społeczne, gmin i panów, i dwie właściwe im zasady: zasadę rodową równości i wspólności i zasadę podboju: stawianie własnego interesu ponad wszystko (indywidualizm) i panowanie jednych nad drugimi. Walka tych zasad snuje się jak nić biała w dziejach narodów i ludzkości. Zasada państwowa zwyciężając, urabia po swojemu nawet stosunki gminne, a znowu ile razy gmin wydobywa się na powierzchnię dziejową, czy to w ruchu religijnym, czy też w usiłowaniach rewolucyjnych, podnosi on wysoko sztandar równości i wspólności. Poczynając od wielkiej rewolucyi w końcu XXIII stulecia, zasada gminna coraz wyraźniej i z coraz większą stanowczością narzuca się samemu państwu i skłania je do przeobrażania się we właściwym jej kierunku, t. j. na podstawie równości praw i obowiązków i wspólnego użytkowania ze wszystkich jego dobrodziejstw. Zasadnicza, jakkolwiek często nieuświadomiona różnica, pomiędzy ruchem socyalistycznym i anarchistycznym — mówię o teoretykach — jest ta, że wyznawcy anarchizmu, rozbiwszy i obaliwszy państwo, mniemają, iż można wrócić do form dawnego bytu rodowego, kiedy tymczasem socyaliści, uznając wszystkie korzyści, jakie państwo może przynosić narodowi, dążą ku temu, ażeby stało się ono prawdziwą rzecząpospolitą w tem znaczeniu, ażeby wszyscy zarówno użytkowali z swych korzyści. Anarchiści chcieliby zawrócić historyę wstecz; przeciwnie socyaliści uważają, że trzeba

iść naprzód razem z historyą, zgodnie z postępem wiedzy i techniki w najogólniejszem jej znaczeniu [1]).

Nie można oceniać znaczenia dziejowego podbojów, które przypadały na lata — że tak powiedzieć — niemowlęctwa narodowego, przez porównanie z późniejszemi podbojami, kiedy narody urobiły już swoją indywidualność. Niewątpliwie, początkowe podboje były także gwałtem, przemocą, ale miały one i swoją korzystną stronę w rozwoju narodowym. Często koniecznym bywał współudział czynnych żywiołów, ażeby masę ludową wyprowadzić z jej bierności. Gumplowicz z wielkiem prawdopodobieństwem odtwarza wzajemne wypychanie się jednych podbojców przez drugich na ziemi węgierskiej, przyczem masa ludowa biernie poddaje się to jednym, to drugim [2]). Jeżeli różnica rasowa pomiędzy podbójcami i ludnością podbitą, nie jest zbyt wielka, to traci ona bardzo prędko swój charakter rasowy, a staje się różnicą społeczną, klasową. Podbójcy stanowią klasę zbrojną, rycerską, która stawi czoło otaczającym zewnętrznym wrogom i broni pracującą ludność od najazdów łupieżnych. Pomiędzy tą klasą i wielką masą żywicieli, powstaje jakby pomost je łączący nowa klasa, która wydziela się z klasy pracującej i bywa zasilana obcoplemienną, a która gromadzi się w stadach klasy panującej i obsługuje ją w jej potrzebach (przez rzemiosła, handel, wyręczanie w zajęciach, które wymagają większej pracy i cierpliwowości). Jest to klasa miejska, podstawa późniejszej burżuazyi; wzrost jej liczby i znaczenia przyczynił się ogromnie do skonsolidowania organizmu narodowego. Napływ do miast polskich ludności żydowskiej, która rasowo i religijnie wielce się różniła od ludności miejscowej, i którą nasze dokumenty z końca jeszcze XVIII stulecia nazywają narodem żydowskim, utrudniał proces rozwoju silnej klasy miejskiej, i historyk rosyjski Iłowajski nie bez pewnej słuszności upatruje w tem przyczynę niemocy narodu polskiego w obronie swego państwa od chciwości mocarstw sąsiednich. W południowo-amerykańskich republikach można jeszcze dzisiaj obserwować, jak się wytwarza pomost pomiędzy byłymi najezdcami europejskiemi i byłą ludnością podbitą. „Metysi, zwłaszcza krwi indyjskiej, cholosowie (cholo — jest mieszańcem indyjsko-europejskim) zajmują od czasu wyzwolenia się ważne posady w wojsku i w rządzie. Człowiek, który odegrał wielką rolę w Peru, jenerał Santa-Cruz, pochodzi przez matkę od dawnych kacyków czyli naczelników indyjskich [3])“. Znowu mieszańcy krwi murzyńskiej z europejską sambosowie dostarczają najzręczniejszych robotników miastom nadbrzeżnym [4]).

Utworzenie państwa nie mogło pozostać bez wpływu na rozwój stosunków eko-

[1]) Pod nazwą techniki można podciągnąć wszystkie nauki stosowane do życia praktycznego, a więc także pedagogję, prawnictwo, politykę i t. d. Moją klasyfikacyę nauk podałem w *Revue Internationale de sociologie.* (Paris 1894, N. 7—8).

[2]) Louis Gumplowicz. — Les anciennes populations de la Hongrie (Revue Internationale de Sociologie. Paris, 1893, N. 7—8).

[3]) Revue des deux mondes. 1850. Bruxelles. T. II. Str. 14. Les républiques de l'Amerique du Sud. — M. A. de Botmilian.

[4]) L. c. Str. 15.

nomicznych. Rodowa organizacya była komunistyczna, pozostawała ona u ludności podbitej, poddańczej przez długi czas jeszcze, nawet w wielu miejscach — jak to szczególnie wykazał Emil de Laveleye — przechowała się aż do naszych czasów. Podbójcy — mówię o tych czasach, kiedy organizacya rodowa była powszechna — przynieśli z sobą własną rodową organizacyę, ale tu z jednej strony przeistacza się w hierarchiczną zbrojną organizacyę, porządek feudalny, odpowiedniejszy od rodowego do zachowania i obrony państwa, a z drugiej strony w organizacyi rodowej klasy panującej objawia się silna dążność do indywidualizacyi oddzielnych rodzin. W celu obrony państwa budują się grody i drogi, i jedne i drugie mają ważne znaczenie dla rozwoju ekonomicznego. W miastach powstają targi, rynki; ułatwiona zaś komunikacya sprzyja wymianie, powiększa odbyt. Feudalizm, jako silniejszy narzuca swoją zasadę hierarchiczną organizacyi przemysłowej, a nawet rolniczej. Indywidualizacya rodzin prowadzi także do indywidualizacyi własności ziemskiej.

Str. 244 i 245 skonfiskowała c. k. Prokuratorya Państwa.

Od pana Kazimierza Tetmajera otrzymaliśmy list, który tutaj w całości zamieszczamy:

Dowiaduję się o śmierci Godlewskiego. Żyliście z Nim w przyjaźni — przyjmijcie mój serdeczny wyraz żalu. Proponuję, aby — jeżeli dotychczas taki zamiar nie istnieje — wmurować Mu gdzieś jakąś tablicę pamiątkową; gdyby tak być miało, składam na ten cel 5 franków, które wręczyłbym w Krakowie, w końcu lipca.

Łączę wyrazy etc.

Genewa, 14 lipca 1899 r. *Kaz. Tetmajer.*

Redakcya «Młodości« poczuwa się do obowiązku złożenia Szanownemu inicyatorowi, za jego szlachetną myśl, wyrazów podziękowania w imieniu rodziny nieboszczyka i zaznacza swoją gotowość w zbieraniu składek na ten cel. Składki można przesyłać pod adresem redakcyi: Retoryka 1. w Krakowie.

OD REDAKCYI.

Dzisiejszy VIII numer »Młodości« jest ostatni, jaki wychodzi pod redakcyą niżej podpisanych.

Do numeru bieżącego dodajemy spis nazwisk tych ludzi, którzy zasilali »Młodość« swojemi pracami. Jak na 10-miesięczny czas istnienia — lista długa i nieustępująca pod względem swojej zawartości najlepszym polskim pismom literackim. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że przez cały czas wydawania pisma pomieszczaliśmy utwory wyłącznie polskich autorów i że przez te dziesięć miesięcy zdołaliśmy zaznajomić czytający ogół z kilkunastoma zupełnie nowemi nazwiskami literackiemi i artystycznemi — to możemy śmiało zaznaczyć, że »Młodość« nie spłynęła z powierzchni życia ogólnego bez echa i śladu.

Niech nam jeszcze wolno będzie na tem miejscu zarówno tym autorom jako i wszystkim bezimiennym naszym współpracownikom — wyrazić słowa prawdziwej, serdecznej podzięki za ich życzliwą a bezinteresowną pracę w piśmie.

Stali abonenci »Młodości« otrzymają przy dzisiejszym numerze, jako premium, poemat Bogusława Adamowicza p. t. »Tragedya krwi«.

Nadto zawiadamiamy tych abonentów, którzy wnieśli przedpłatę do końca r. b., że w miarę Ich życzenia ustępująca redakcya może im zwrócić prenumeratę za kwartał IV. r. b. drogą przekazu pocztowego.

Kraków, dnia 15 października 1899 r.

Adam Siedlecki.

A. S. Procajłowicz.

Treść »Młodości« wypełniali swojemi pracami następujący autorowie:

POEZYA.

Adamowicz Bogusław »Nagość«.
»Wstyd«.
Bieder Edmund »Lacrimae amarae«.
»Ex inferno«.
Butrynowicz Bogusław »Harmonie«.
Eisenberg Filip »Bajka«.
»Co czekają cudu«.
Gozdawa-Godlewski Witold »Pobudka«.
»Mewie«.
Jedlicz Józef »Krzyk«.
Leszczyński Edward »Aniele pieśni«.
Orkan Władysław »Zaśnięci«.
Tatarkiewicz Maryan »Królewna mórz«.
Żuławski Jerzy »Introibo«.

ILLUSTRACYE.

Badowski Zygmund »Studyum«, rysunek.
Bilek Franciszek »Chrystus«, rzeźba.
Dunikowski Ksawery »Kain«, rzeźba.
Procajłowicz S. »Słowacki«, rysunek.
»Nokturny«, rysunek.
Piszcs Jan »Adam Mickiewicz«, rzeźba.
Weiss Wojciech »Młodość«, rysunek.
»Sursum corda«, rysunek.
»Szopen«, rysunek.
Nadto illustr. pismo: Tadeusz Noskowski, Stanisław Kamocki, Jan Bukowski.

BELLETRYSTYKA.

Kisielewski Jan Aug. »Wila«, komp. scen.
»Melodya fal«, komp. scen.
Mączewski Bohdan »Illustracye Pisma św.«, szkice.
Müller Antoni »Sursum corda«, nowelka.
Nija Stefan »Tęsknota«, fantazya.
Przybyszewski Stanisław »Na tym padole płaczu«.
Siedlecki Adam »Niewolnicy krwi«, opowieść sceniczna.
Stopka Andrzej »Baśń kościeliska«.
Żuławski Jerzy »Słowackiemu...«, poezya prozą.

KRYTYKA LITERACKA.

Lack St. »I jeszcze pieśni«, Godlewskiego.
Siedlecki »Jan Aug. Kisielewski«, portret piórem.
Sterling Tadeusz »Grabińscy i Japończyk« (»Wie ich es sehe«).

ARTYKUŁY POLITYCZNE, SPOŁECZNE, NAUKOWE.

Baudouin de Courtenay »O pewnym stałym kierunku zmian językowych w związku z antropologią«.
Daszyński Ignacy »Stanowisko młodzieży akademickiej w społeczeństwie«.
Godlewski Gozdawa »Nadczłowieczeństwo wobec życia«.
Jellenta Cezary »Fizyognomia polityczna Słowackiego«.
J. L. »Koło akademickie Szkoły ludowej«.
Kotwicz Władysław »Tradycya i nowość«.
Kowalski Z. J. »Stan zdrowia i warunki hygieniczne studentów Uniw. warszaw. w świetle cyfr«.
Limanowski Bolesław »Dynamika sił społecznych«.
Rogosz Włodzimierz »Po ankiecie szkolnej«.
»O serwiliźmie młodzieży«.
»Młodzież konserwatywna o sobie«.
»Odezwa od redakcyi po wiecu akademickim.
Siedlecki Adam »O Słowackim i o nas«.
»Młodzież a polityka praktyczności«.
Unger Stanisław »Młodzież a społeczeństwo«.
»Kwestyonaryusz ekonomiczny«.
Winiarski Leon »Renan«.
Zosin »Czego chcą najmłodsi?«

Nadto pismo zawierało dział polemiczny »Drzazgi«, korespondencye, kronikę, etc.

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW MEUS. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Wydawnictwo Władysława Okręta

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

Dzieła Gerharta Hauptmanna:

Dzwon zatopiony
Cena 75 kop.

Hanusia
Cena 60 kop.

Woźnica Henszel
Cena 60 kop.

Kolega Crampton
Cena 60 kop.

Maurycego Maeterlincka: Księżniczka Malena.

Cena 75 kop.

Wkrótce opuszczą prasę:

Juljana Klaczki „Juljusz II"
Johna Ruskina: Wybór pism
Malarstwo i Poezya
Rudharda Kiplinga „W Dżungli"

Od przeszło 50 lat istniejąca **Wypożyczalnia książek Eliasza Gumplowicza ulica Bracka 5** ma stale na składzie nowości w językach: polskim, niemieckim i francuskim i poleca się względom P. T. Publiczności.

Pierwszy numer „Młodości" kwartalnika literacko-artystyczn. opuści prasę w dniu 1 stycznia 1900 r.

Adres redakcyi: Kraków Retoryka 1.

Nowe nakłady „Głosu"

do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi: **Warszawa ulica Marszałkowska 99.**

Godlewska Ludwika (Exterus) Kato. Powieść współczesna. Dwa tomy rb. 2
Heryng Zygmunt. Logika ekonomii rb. 1·20
Hobson Jan A. Rozwój kapitalizmu współczesnego rb. 2·40
Jabłonowski Wład. W zatoce śmierci. Nowelle rb. 1
Karpiński St. Zasady działalności banków i zarys historyczny głównych epok ich rozwoju kop. 60
Nosocomialis Dr. (Bol. Jakimiak). Potrzeby szpitalnictwa warszawskiego kop. 30
Payot Juljusz. Kształcenie woli (wyczerpane).
Robertson J. Humaniści nowożytni rb. 1·50
Seignobos K. Dzieje polityczne Europy współczesnej.
Spencer Herbert. Instytucye zawodowe rb. 1
Strindberg A. Mieszkańce Hemsoe. Powieść kop. 80
Tylor E. B. Cywilizacya pierwotna rb. 4·80
Witort Jan. Zarysy prawa pierwotnego rb. 1

Warunki prenumeraty „Głosu": miesięcznie 60 kop., kwartalnie rb. 1·75, rocznie rb. 7.

ZESZYT VIII



Cena zeszytu 40 ct.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.